

SCENY TĘCZOWE I NARODOWE

Mariusz Cieślik

Kultura staje się w Polsce polem światopoglądowej bitwy. Dlatego, że mamy dziś do czynienia z sytuacją, kiedy mniejszość usiłuje narzucić większości swój punkt widzenia i estetykę – pisze publicysta „Rzeczpospolitej”.

Jeszcze miesiąc temu mało kto w Polsce wiedział o istnieniu tęczy na placu Zbawiciela i jej autorki Julity Wójcik, symulującego seks z krzyżem artysty Jacka Markiewicza czy reżysera Jana Klaty (a może nawet w ogóle Narodowego Starego Teatru w Krakowie). Dziś działalność tych współczesnych twórców stała się tematem debaty. Co w zasadzie wszystkich powinno cieszyć, bo dla tożsamości społeczeństw nie ma nic ważniejszego niż kultura.

Oczywiście, trudno się radować z tego, że ktoś niszczy instalacje (tęcza) czy zrywa przedstawienia („Do Damaszku” Klaty). Ale już demonstrowanie pod galerią (jak w przypadku Centrum Sztuki Współczesnej) czy nawet wygłaszanie opinii na sali teatralnej w Krakowie wydają się uprawnionymi formami krytyki. W końcu to my wszyscy jesteśmy sponsorami tych współczesnych artystów, bo dzieła, o których mowa, powstają za pieniądze publiczne bądź prezentowane są w miejscach utrzymywanych przez podatników.

Reżyser wytropił wątki antysemityczne w sztuce Zygmunta Krasińskiego. Chciał zrobić spektakl o polskim antysemityzmie. Z klasycznego tekstu zostałyby strzępki

Wszystkiemu winna prawica

Powiedzmy sobie zresztą szczerze, żaden prywatny inwestor nie będzie finansował spektakli Jana Klaty czy instalacji Jacka Markiewicza. Wystarczy przejść się do któregoś z prywatnych teatrów, by się przekonać, co tam się gra. O eksperymentach w rodzaju tych, na jakie pozwala sobie dyrektor Starego Teatru w Krakowie, nie ma tam mowy. Ani o wystawianiu Strindberga. Na prywatnych scenach, utrzymywanych z pieniędzy zostawionych przez widzów w kasach, wystawia się przede wszystkim komedie. Ewentualnie dalekie od poetyki Klaty, współczesne sztuki obyczajowe, które dają gwiazdom szansę aktorskiego popisu.

Podobnie jest w przypadku komercyjnych galerii, gdzie nikt nie pokazuje dziwactw w stylu instalacji wideo, a już tym bardziej takich, z powodu których ktoś może się poczuć obrażony. Marszandzi eksponują to, co może znaleźć nabywców, czyli najczęściej pejzaże i portrety. Krótko mówiąc, ci, którzy są zmuszeni na sztuce zarabiać, dają publiczności to, czego ona naprawdę chce. A większość ludzi, jeśli pragnie mieć w domu dzieło sztuki, to takie, które można by nazwać pięknym. Do teatru zaś chodzi się rozerwać, a nie męczyć czymś, czego nie rozumie. Można to nazwać gustem mieszczańskim albo nawet filisterskim, jak ktoś woli, ale nie ma specjalnych wątpliwości, że takie właśnie są powszechne upodobania.

Takich dzieł nie zobaczymy jednak ani w Centrum Sztuki Współczesnej, ani w Starym Teatrze w Krakowie. Tam twórcy, dzięki polityce kierownictw tych instytucji, mogą sobie

pozwoić na eksperyment, prowokację i pójsie pod prąd gustów większości. Ale jest to możliwe, powtórzmy, tylko dzięki publicznym pieniądzom.

Czy to znaczy, że należałoby zmusić szefostwo warszawskiej galerii, żeby pokazywało jelenie na rykowisku, bo ludzie je lubią, a dyrekcję Starego Teatru do wystawiania fars? Nie w tym rzecz. Nawet jeśli niektóre dzieła sztuki mają nielicznych odbiorców, to przecież państwo powinno zadbać o ofertę również dla nich.

Należy jednak mieć świadomość, że w Polsce mamy dziś do czynienia z sytuacją, kiedy to mniejszość usiłuje narzucić większości swój punkt widzenia i estetykę. Ten, kto uważa, że scena narodowa nie jest odpowiednim miejscem dla eksperymentów Jana Klaty; że w galeriach finansowanych z publicznych środków nie należy pokazywać dzieł, które część publiczności uważa za bluźniercze; że symbol homoseksualistów nie powinien być eksponowany obok kościoła, bo to mogłoby kogoś urazić; piętnowany jest jako osobnik pozbawiony elementarnej kultury i straszny prawicowiec. Pół biedy, kiedy mówią tak dziennikarze czy krytycy, gorzej, gdy z pouczeniami występują urzędnicy, bo akurat oni powinni brać pod uwagę wrażliwość publiczności. Również tej konserwatywnej.

Oczywiście, każdy z omawianych przypadków jest inny, ale warto zwrócić uwagę, że wszystkie stały się polem bitwy światopoglądowej między rządzącymi i kibicującymi im mediami oraz szeroko pojętą prawicą. Przy okazji zerwania spektaklu usłyszeliśmy od dyrektora Starego Teatru, że zrobiła to prawica; w związku z protestami przed Centrum Sztuki Współczesnej mówiono, że akcję zorganizowali ludzie z kręgów Radio Maryja; a co do tęczy, to nie ma wątpliwości, że została spalona przez osobników uważających się za narodowców. Choć, na moje oko, przede wszystkim są oni bandytami.

W obronie tęczowej Polski

A skoro już jesteśmy przy tęczy, to od niej zacznijmy. Szczerze mówiąc, praca Julity Wójcik bardzo mi się podobała, a zaskoczyła mnie tym bardziej, że wcześniej kojarzyłem tę artystkę jedynie z akcją obierania ziemniaków w Zachęcie. Nie przywidziało się Państwu, autorka tęczy siedziała sobie w najbardziej prestiżowej galerii kraju i obierała kartofle. Czy zostały zjedzone czy wyrzucone, niestety nie wiem. Tak czy owak, podobnie jak palma Joanny Rajkowskiej na warszawskim rondzie de Gaulle'a, tęcza na Placu Zbawiciela wydawała mi się dobrym pomysłem na jakościową odmianę przestrzeni publicznej w stolicy.

Głosy, że chodzi o prowokację wymierzoną w katolików, bo instalacja stoi obok kościoła, uważałem za przesadne. Tymczasem dziś okazuje się, że się myliłem. To jest prowokacja. W „Apelu w obronie tęczowej Polski” (podpisanym m.in. przez Agnieszkę Holland, Sławomira Sierakowskiego i Jacka Żakowskiego) jasno napisano, że zniszczony został pomnik „tolerancji przede wszystkim wobec osób LGBT”, czyli symbol walki o prawa homoseksualistów. To jednak zmienia postać rzeczy, bo wcześniej słyszeliśmy, że każdy, kto twierdzi, iż chodzi o gejów, to paranoik, bo przecież tęcza to również symbol chrześcijaństwa.

Jak widać, kibole nie są tacy głupi, jak się powszechnie sądzi. Skoro spalili tęczę jako symbol znienawidzonego przez siebie „pedalstwa”, wykazali się przenikliwością godną krytyków sztuki, bo przecież przez długie miesiące mówiono, że chodzi o coś zupełnie innego.

Żeby było jasne: bez względu na to, czego symbolem jest tęcza, nie ma przyzwolenia na wandalizm i bandytyzm. Ale pani prezydent Warszawy, zamiast bezwarunkowo wspierać inicjatywę odtworzenia instalacji w dotychczasowym miejscu, powinna jednak sprawę na nowo przemyśleć. Albo zrobić sondaż wśród mieszkańców stolicy z pytaniem, czy życzą sobie symboli ruchu homoseksualnego w pobliżu kościołów. Skoro mogła zapytać w sprawie pomnika smoleńskiego i wyszło jej, że ludzie go nie chcą, to dlaczego nie w kwestii tęczy?

O „Adoracji Chrystusa” Jacka Markiewicza nie mam wiele do powiedzenia, bo dzieło jest żenujące i szkoda mi czasu na komentowanie tego, że ktoś nagi dobiera się do krzyża. Sądzę, że jest to bardziej przypadek dla psychiatry niż publicysty. A to, że instalacja jest prezentowana w prestiżowym Centrum Sztuki Współczesnej, dowodzi jedynie, że w obiegu galerii przestały już obowiązywać jakiegokolwiek kryteria i wystarczy, że ktoś skończył studia artystyczne, by to, co wytwarza, uznać za sztukę. Praca na takim poziomie w ogóle nie powinna być nigdzie pokazywana.

Można by jeszcze ewentualnie dodać, że połączenie seksu i krzyża to w Polsce najlepszy sposób dla artysty, by zyskać rozgłos, dlatego co jakiś czas ktoś się na to decyduje (najgłośniejszy przykład to ukrzyżowane genitalia, czyli „Pasja” Doroty Nieznalskiej). I tyle, bo na dłużej chciałbym się zatrzymać przy kwestii konfliktu w Starym Teatrze.

Wbrew temu, co słyszeliśmy jeszcze niedawno, nie chodzi bowiem o żadnych prawicowców, tylko o konflikt pomiędzy częścią zespołu a dyrektorem. Owszem, zaczęło się od protestu w trakcie przedstawienia „Do Damaszku” w reżyserii Jana Klaty, z którego podczas symulowanej sceny seksu z udziałem Krzysztofa Globisza i Doroty Segdy wyszła część publiczności.

Strategia prowokatora

Ale dziś sytuacja jest zupełnie inna. Ze Starego odchodzi wielka aktorka Anna Polony, a siedmioro artystów (z Anna Dymną i Tadeuszem Hukiem na czele) rezygnuje z ról w „Nie-Boskiej komedii”. Efektem jest zawieszenie prób spektaklu przygotowywanego przez Olivera Frljicia. Tak zatem nie dowiemy się pewnie już nigdy, o co naprawdę poszło, bo przedstawienie prawie na pewno nie ujrzy światła dziennego.

Sporo wiadomo jednak z przecieków do lokalnych krakowskich mediów. Pochodzący z Bośni reżyser chciał ponoć zrobić spektakl o polskim antysemityzmie, bo wątki antysemickie wytropił w sztuce Zygmunta Krasińskiego i w inscenizacji Konrada Swinarskiego (do której spektakl miał nawiązywać). Z klasycznego tekstu zostałyby strzępki, bo aktorzy mieli improwizować na temat.

Nic to, że „Nie-Boska komedia” traktuje o czym innym. Kogo to obchodzi – zdawał się nam komunikować realizator. Okazało się, że znaleźli się wśród aktorów tacy ludzie. Obchodzi

ich, o czym są spektakle, w których grają. I, jak rozumiem, nie podzielają opinii reżysera, że arcydzieło polskiego romantyzmu to tekst antysemicki. Również i w tym wypadku dyrektor Starego otrzymał niemal bezwarunkowe wsparcie od władz, konkretnie od ministra kultury.

Pytanie brzmi jednak, czy Bogdan Zdrojewski naprawdę znał sytuację w teatrze. Bo, oczywiście, zrywanie przedstawień czy obrażanie aktorów to zachowanie naganne, ale dziś już wyraźnie widać, że w okolicach narodowej sceny dzieje się coś złego. Być może Jan Klata, utalentowany reżyser, twórca wielu wybitnych przedstawień (w tym wspaniałej „Orestei” w Starym Teatrze) po prostu nie nadaje się na dyrektora, skoro dopuścił do takiej sytuacji?

W kuriozalnym komentarzu w „Gazecie Wyborczej” Roman Pawłowski oburzał się na aktorów, że wynoszą informacje na temat niegotowego spektaklu na zewnątrz, do mediów. A co mają zrobić w sytuacji, kiedy uważają, że na scenie ich teatru dzieją się rzeczy niedopuszczalne? Wszystko wskazuje bowiem na to, że to, jak wygląda obecnie repertuar Starego Teatru, oburza nie tylko część publiczności, ale i zespołu aktorskiego. Być może strategia artystyczna przyjęta przez Jana Klatę, urodzonego prowokatora i eksperymentatora, po prostu nie pasuje do tej sceny, która nosi szczytne miano narodowej?

Kolejny raz powtarzam „być może”, bo zasadniczą kwestią jest sformułowanie celu, jaki chce osiągnąć państwowy mecenas. Jeśli chodzi o artystyczne prowokacje i nierozzerwalnie z nimi związane skandale, to powierzenie dykcji teatru Klacie miało sens, ale może chodziło jednak o coś innego.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby Jan Klata założył własny teatr. Myślę, że Ministerstwo Kultury w uznaniu zasług chętnie wyłoży środki na działalność takiej sceny... Natomiast proponować, żeby Anna Dymna wyniosła się ze Starego, jak jej się nie podoba? Hańba!

WYKORZYSTANO: RZECZPOSPOLITA